ROZMAITOŚCI.

Dnia 6 września, Nr 36. roku 1845.

FAŁSZÉRZ.

PRZEZ ALEKS. DUMAS.

W czasie trzeciego przedstawienia »Roberta djabła« wyszedłem wraz z moim przyjacielem, baronem Olivierem d'Hornoy, przejść się na chwilę po sali teatralnéj. Przyjaciel mój wrócił właśnie z Indyjów zachodnich, a było już trzy lat temu, odkiedyśmy się nie widzieli. Podczas naszéj przechadzki po sali spotykał nas zawsze jakiś osobliwiéj wyglądający mężczyzna. Dla uniknienia tych dalszych spotkań wezwał mię baron, abyśmy do innéj sali przeszli. Zapytałem przyjaciela mojego, czy zna owego mężczyznę?

»Bardzo mało,« — odpowiedział— »wiém jednak tyle, że szuka sobie zaczépki ze mną, czego ja sobie wcale nie życzę.«

»Cóż to znaczy, Olivier?« zawołałem. »Wszakto niegdyś tyś sam chętnie zaczépki szukał, a teraz jéj unikasz!«

»Prawda, nie uchylałem się nigdy od pojedynku jeźli tego potrzeba było, lecz z każdym bić się nie można.«

»Rozumiém cię: musi to być człowiek dwuznacznego charakteru.«

»Tak jest, poniekąd. Nazywa on się hrabią Henri de Faverne; trzyma sobie powozy i konie wyścigowe, zakłada się o wielkie sumy i płaci każdemu regularnie. Dotąd wszystko dobrze; lecz chce się także żenić, a to dało powód do niejakich dopytywań, zkąd jego tak hojnie szafowany majątek pochodzi. Nato odpowiedział nasz nieznajomy, iż należy do jednéj z bogatych rodzin osadniczych w Indyjach zachodnich. Ponieważ ja właśnie z tamtych okolic przybywam, przeto zapytano mię, czy nie znam rodziny wymienionego mi nazwiska. Nie potrzebuję ci jednak powiadać, iż na żadnéj z wysp zachodnio-indyjskich nie masz rodziny hrabiów de Faverne. Zato, iż taką odpowiedź dałem, szuka teraz zaczépki.«

W téj chwili zawołano barona do jakiejś loży, przezco nasza rozmowa się przerwała. Ja odstąpiłem na bok i zacząłem z kim innym mówić; aż tu słyszę głos mojego przyjaciela, i postrzegam wkrótce jego samego ku mnie nadchodzącego.

»Pójdź, Dumas, wyjdźmy.«

»Cóż się tam stało?«

»Stało się, com przeczuwał. Wyrządził mi obelgę. Uderzył mię, a jam mu oddał. Teraz trzeba się bić koniecznie. Nie masz innego sposobu.«

Zstępując nadół po schodach, spotkaliśmy jeszcze raz naszego nieznajomego.

»Nie zapomnisz wpan,« — ozwał się głośno do mego przyjaciela — »iż go jutro rano w lasku bulońskim oczekuję.«

»Nie zapomnę;« odrzekł baron z wyrazem głębokiéj wzgardy, poczém obrócił się do mnie, mówiąc: »Ten człowiek musiał przy pługu wyrość. Co za myśl, bić się o 6téj godzinie zrana! Nigdy jeszcze o tym czasie z łóżka nie wstałem. Gdyby był przynajmniéj zdał na sekundantów oznaczenie czasu.«

»Mniejsza oto; jestem pewny, iż skończysz tę sprawę w zaszczytny dla siebie sposób.«

»Nic tak zaszczytny, bez wątpienia, jak gdyby się to o jedynastéj godzinie działo. Tymczasem przynieś szpady o piątéj. Nie będę się bił moją własną, aby nie po-

wiedział, iż jestem zanadto z nią oswojony. Ale wolałbym doprawdy, bić się jeszcze dziś wieczór. Ztémwszystkiém, niech i tak będzie. Dobranoc, a nie spóźnij się jutro."

„Nie lękaj się. Alfred de Nerval będzie drugim sekundantem a Fabien posłuży nam za lekarza."

*

„Jakże tam dziś na dworze?" spytał mię baron nazajutrz, gdym wszedł do niego.

»Nieco dżdżysto."

„Otóż mamy! I dla tego człowieka mam ja się bić o szóstéj godzinie zrana w dészczu i w błocie. Możnaż sobie coś niedorzeczniejszego wystawić!"

Wsiedliśmy do powozu i przybyliśmy na oznaczone miejsce, gdzie przeciwnik już czekał. Przystąpiono zaraz do rzeczy. Baron wybrał już broń; o zgodzie nie było ani co myśléć. Zdjęli surduty. Koszula pana de Faverne była z grubego płótna.

»Na każdy wypadek jestto oszust;" rzekł baron.

Zbliżyli się do siebie. Baron był spokojny i zupełnie przytomny, podczas gdy jego przeciwnik niezwykle srogą minę przybiérał.

Pan de Faverne uderzył piérwszy na mego przyjaciela. Z początku były jego poruszenia szybkie i pewne, lecz Olivier bronił się tak przytomnie, jakby to tylko zabawka była. Zdziwiony więc tą oziębłością swojego przeciwnika, zaczął pan de Faverne coraz goręcej nacierać, wykrzykując głośno przy każdém pchnięciu, jakgdyby chciał zastraszyć Oliviera. Wkrótce jednak znużyła go ta porywczość, a teraz zaczął baron nacierać. Czynił to zaś tak zręcznie, iż po niedługim czasie otrzymał tamten pchnięcie skróś ciała.

„Lękam się, czyli go nie zabiłem!" zawołał baron. „Żalby mi było tego. Nie wiém dlaczego, lecz mam jakieś przeczucie, iż ten człowiek nie umrze uczciwą śmiercią."

Zawieziono rannego do jego pomieszkania, w towarzystwie lekarza. Szpada Oliviera przebiła mu lewe skrzydło płucowe, nie nadwerężając wszakże żadnego żywotnego naczynia. Dwóch służących wniosło go do pysznie umeblowanych pokojów na łóżko. Znalezienie się ich w tym razie zdawało się zupełnie obojętném. Sam pan de Faverne, który zrazu był zemdlał, ocucił się trzęsieniem powozu w drodze, i przemówił słów kilka. Doktor obwiązał mu ranę i chciał odejść, lecz służący się téż oddalił, a tak nie było nikogo w pokoju.

»Potrzeba wpanu kogoś, coby cię pielęgnował;" ozwał się lekarz.

»Nie mam nikogo!" odrzekł ranny wzruszonym głosem.

„Ani ojca, ni matki — lub jakiéj krewnéj?"

Zdawało się jakby wymówił imię „Maryja" — lecz słowo to zamarło mu na ustach.

„Doktorze," — rzekł po chwili, przyszedłszy nieco do siebie — „mogę się zupełnie na pana spuścić, nieprawdaż?"

„Lepiejby może było, nie pytać się tych oto, którym nie dowierzamy."

„Nie," — odpowiedział ranny — „przebacz mi, zaufam panu. Patrz — widzisz ten portefeuille; zawiéra on ważne papiéry familijne. Przyrzeknij mi spalić go jeżli umrę."

„Przyrzekam."

„Nieczytając."

»Czyż nie zamknięty?"

»Ach, portefeuille tak łatwo da się otworzyć."

Lekarz, raczéj nieprzyjemnie dotknięty niż rozgniewany tą niedelikatną uwagą, oddał portefeuille nazad właścicielowi. Pan Faverne postrzegł iż go uraził, i zaczął go przepraszać.

„Długi pobyt w kolonijach," — mówił — „uczynił mię podejrzliwym." Poczém dodał, prosząc: »Przyszlij mi wpan jaką kobiétę ze szpitalu do pielęgnowania mię; dobrze jéj wynagrodzę."

„Uczynię co wpan żądasz," — odrzekł lekarz — ale tymczasem nie możesz tu sam pozostać. Mamże zadzwonić na służącego?"

»Nie," — odpowiedział pan de Faverne — „nie dobrze być samemu, lecz gorzéj jeszcze pozostać się z człowiekiem, któryby mógł mię zamordować, aby zabrać co jest i uciec. Wszak mam już głęboką ranę;" — dodał stłumionym głosem — „gdyby ktoś tam jeszcze pchnięcie ponowił, mógłby łatwo ugodzić w serce, którego mój przeciwnik był chybił."

Lekarz stał w zadziwieniu, słysząc tak okropne podejrzenie z ust jego.

»Nie," — ozwał się ranny daléj — „weź wpan klucz od pokoju, zamknij mię, i oddaj go potém kobiécie, którą mi przyszlesz, zalecając jéj aby mnie w dzień i noc na chwilę nie odstępowała."

Wychodząc od chorego miał zacny lekarz więcéj czasu przypatrzyć się mieszkaniu tego osobliwszego człowieka. — Całe urządzenie domu było, jak już wspomniano, nadzwyczaj świetne i wystawne, ale bez smaku. Wazy bez żadnéj wartości stały pomiędzy prawdziwą drezdeńską porcelaną, a najlichsze malowidła błyszczały złocistémi ramami. Wszystko było nowe i świéże i zdawało się być w przeciągu kilku miesięcy ponabywane. Lokaje w kosztownéj liberyi śmieli się w przedpokojach, nie troszcząc się bynajmniéj nieszczęściem swego pana.

Gorączka rannego była gwałtowniejszą niż zwykle w podobnym razie; lecz dzięki troskliwości dozorczyni i swojéj własnéj mocnéj budowy ciała, przemógł pan de Faverne chorobę, a rana goiła się widocznie. Jedyną osobą, która w ciągu słabości rannego o stanie jego zdrowia dowiadywać się kazała, byłto pan de Macartie, przyszły teść pana de Faverne.

»Nieprawdaż,« — zapytał pan de Macartie z niejaką obawą lekarza, gdy się z nim raz obaczył — »nieprawdaż, iż dowiadując się o stan zdrowia pana de Faverne, daję przeto dowód niedowierzania rozszérzonym o nim potwarzom.«

»Nie inaczéj;« potwierdził lekarz.

„Tak jest,« — ciągnął pan de Macartie — „sąto bez wątpienia potwarze. Pisałem do gubernatora Guadelupy, który mi w kilku tygodniach odpowie i zapewne resztę powątpiewań usunie. Musisz być na weselu, doktorze.«

Po czternastu dniach oddał lekarz powierzony mu portefeuille, i oznajmił iż przestanie już bywać, gdyż jego lekarska pomoc jest już prawie niepotrzebną. Pan de Faverne otworzył portefeuille i wyjął zeń garść banknotów po 1000 franków.

»Doktorze,« — ozwał się zwolna, jakby zamyślony — »śmiałyto musi być człowiek, który się odważy banknoty fabrykować.«

»Przeciwnie, sądzę to być podłością, a zatém wcale nie bohatérstwem.«

„Być może, iż to jest podłość, lecz trzeba do niéj odwagi. Myśliszże iż słaba ręka zdolną jest napisać tych słów kilka: „Podług ustaw fałszérz karze śmierci podpada.«

„Pozwalam, że to pewnego rodzaju męztwa wymaga;« — odpowiedział pan Fabien — »słychać też, że ta surowa kara ma być wnet złagodzoną.«

»W istocie!« zawołał pan de Faverne mocno wzruszony. „Wieszże pan to z pewnością?«

»I dla czegoż to pana tak obchodzi?«

„Obchodzi mię to o tyle,« — odrzekł nieco zmieszany — „o ile każdemu przyjacielowi ludzkości na tém zależy, aby tak surowe prawo zniesiono.«

Lekarz odszedł i otrzymał nazajutrz list, zawiérający weksel na 1000 franków. Odłożył go do innych podobnych papiérów. Po kilku dniach wypadło mu uczynić niektóre wypłaty, przyczém rozdał cztéry weksle na 1000 franków. Nazajutrz odesłano mu jeden z tych wekslów jako fałszywy.

Trzy miesiące upłynęły po tym wypadku, w ciągu któregoto czasu lekarz nie powziął żadnego podejrzenia, gdy mu raz wieczór pana de Faverne oznajmiono. Wszedł on blady i gwałtownie zmieszany.

„Doktorze!« zawołał z progu. »Jesteś jedynym człowiekiem w Paryżu, który moje zaufanie pozyskał. Zdarzył mi się okropny przypadek, i przychodzę zasięgnąć rady u ciebie.«

„Rady« — odrzekł lekarz — „zasięgamy zwykle jedynie nato, aby się w powziętém już raz postanowieniu utwierdzić.«

„Lecz tu idzie o wielką sprawę. Ach, jestem może stracony!«

„Stracony? Jakże?«

»Będzie mię prześladowała! Powie każdemu kto jestem.«

„Któż pana będzie prześladował?«

»Maryja.«

»No — czyż nie jesteś pan bogatym? Są przecież środki...«

»Nie, nie! Jestto dziewczyna wiejska, uboga lecz szlachetna, pełna zaufania, która się niczém od swego zamiaru odwieść nie da. Opuściła rodzinną wioskę, wyszukała miejsce mego pobytu, przyszła dziś wieczór do mnie, nie mówiąc kto jest, z dziecięciem, które jest owocem chwilowéj nieroztropności.«

»I cożeś wpan uczynił?«

„Powiedziałem, iż jéj nie znam, i kazałem ją wyprowadzić.«

Lekarz cofnął się mimowolnie o krok przed tak oziębłą nikczemnością.

„Wyprawiwszy ją w ten sposób z domu, ujrzałem, iż sobie na progu przed moim domem usiadła.«

»I sądzisz pan, iż ona tam jeszcze siedzi?«

„Zapewne.«

„Cóż ja mam więc tu robić?«

»Pójść do niéj, ofiarować jéj pieniądze — byle sobie tylko precz poszła. Jeźli pan de Macartie się dowie, zkąd i kto ja jestem, tedy nie zechce mi dać swojéj córki.«

»Dobrze, pójdę do owéj niewiasty;« odrzekł lekarz.

Jakoż wyszli obaj wraz ku domowi pana de Faverne. Tam pokazał właściciel lekarzowi młodą matkę z dziecięciem, które na głos płakało, podczas kiedy matka niemo siedziała, i usunął się na bok. Lekarz przystąpił do siedzącéj, nazywając ją po imieniu.

Młoda niewiasta podniosła głowę i rzekła: »To nie on;« — poczém znowu głowę skłoniła.

„Jestem doktor Fabien i przychodzę w jego imieniu.«

„Od Gabryjela?«

„Tak jest.«

„Jeźli tak — to pójdę z panem. Gdzież mię pan zaprowadzisz?«

„Do siebie.«

W kilka minut usiadła sobie młoda wieśniaczka w pokoju lekarza; dziecię spało.

»Życzysz pan sobie usłyszyć moją historyję; jest ona bardzo smutna, ale powiém ją panu. Ojciec mój był nauczycielem przy szkółce we wsi, z któréj ja i Gabryjel rodem jesteśmy. Gabryjel chodził wraz z innymi do szkoły, gdzie go silniejsi chłopcy bili, a ja go obraniałam. Ztąd nawykliśmy do siebie, i wszczęła się wielka przyjaźń między nami. Gabryjel nauczył się z nadzwyczajną łatwością pisać, i okazywał przytém osobliwszy talent do naśladowania pisma cudzego, co nakoniec z tak zadziwiającą wprawą czynił, iż prawie niepodobna było, rozeznać odpisu od wzoru. Inni chłopcy robili sobie z tego nieraz igraszkę, lecz mój ojciec potrząsał często głową i mawiał:

»Zaniechaj to, Gabryjelu. Nie prowadzi to do niczego dobrego.”

»Po wyściu ze szkoły nie miał Gabryjel ochoty do gospodarstwa, a wójt gminy, usłyszawszy o jego biegłości w pisaniu, wziął go do siebie za pisarza. Ze mną pozostał Gabryjel w ciągłéj przyjaźni. Zdawał się nawet mieć niejakie tkliwsze uczucia dla mnie, a ja go z całéj duszy kochałam. Jakto na wsi w zwyczaju, chodziliśmy z sobą na spacér, i bawiliśmy się razem Nikt się o nas nie troszczył. Byliśmy oboje ubodzy, a tak nie mieli ludzie powodu stać o nasze rozłączenie.

»Lecz Gabryjel myślał wciąż o Paryżu. Dostać się tam — było jedynym celem jego życzeń, nieustannym przedmiotem jego rozmów. Wtém nadeszła pora wyboru deputowanych. Jeden z kandydatów przybył do naszéj wsi i chciał tam okólnik wydać. Nie było nikogo, coby go rozpisać umiał, prócz Gabryjela. Zato przyrzekł mu deputowany wyjednać jaką posadę w Paryżu.

„Otrzymawszy to przyrzeczenie, przyleciał Gabryjel do mnie pełen radości. Lecz nasz kandydat nie został wybranym i odjechał bez pamiętania o Gabryjelu. Mój kochanek był zrazu niepocieszony. Jednakoż po krótkim czasie rzekł do mnie, jakby mu szczęśliwa myśl do głowy przyszła:

»Zatrzymałem u siebie oryginał, podług którego odpisy sporządzałem.”

„I na cóż ci się to przyda ?”

»Na nic;” — odpowiedział, zwracając rzecz do czego innego — „przypomina on mi tylko autora, nic więcéj.”

„Wszakże po upływie tygodnia przyszedł nasz wójt z jakimś listem do ojca Gabryjela. Byłto list od owego pana, który o deputacyję się starał, a w liście jego stało, iż nie zapomniał o swojem przyrzeczeniu i że wyjednał Gabryjelowi miejsce u jednego z piérwszych bankierów paryzkich.

»Gabryjel udzielił mi natychmiast téj wiadomości, lecz jego radość była mojém cierpieniem. Płakałam rzewnemi łzami. Gabryjel opisywał mi często szczęście, jakieby dla nas wynikło, gdyby mu się powiodło uzyskać posadę w Paryżu, któraby nam pobrać się dozwoliła. Teraz rzucił się przede mną na kolana, przysięgał mi zostać wiernym i utulił moją obawę najczulszémi wyrazami miłości i przywiązania.

„Miał jeszcze tego samego wieczora odjechać. Ojciec jego uzbiérał 1000 franków na jego wyprawę i chciał się udać z nim do poblizkiego miasta, gdzie była poczta. Wyprosiliśmy jednak u niego, iż jeszcze ztamtąd powrócić przyrzekł, a my te ostatnie chwile wraz z sobą spędzić mieli. W gorzkiéj boleści serca obiecałam Gabryjelowi wpuścić go potajemnie do naszego mieszkania. Byłoto po raz piérwszy, iżem to uczyniła, spodziewając się znaleźć dość siły w sobie, aby się jemu i sercu oprzeć. Ach, jakżem się zawiodła!

„Odszedł dopiéro ze świtem. Odprowadziłam go aż do fórtki w ogrodzie. Tam jeszcze na kolanach dawne przysięgi wznowił, zaklinając się, iż nikt inny prócz mnie jego żoną nie będzie. Nareszcie wydarł się z moich objęć i opuścił jakiś papiér na ziemię. Podjęłam go coprędzéj. Byłto weksel na 1000 franków. Przywołałam go nazad i wróciłam mu zgubę.

„Ach, jakiżto roztrzepaniec ze mnie!” zawołał. „Lecz zato jeszcze raz ucałować cię mogę! Zresztą nie ma ten papiér żadnéj wartości.”

„Jakto, żadnéj wartości ?”

„Jestto tylko przerys wekslu, który dla zabawki zrobiłem.” To mówiąc podarł papiér w kawałki i rozwiał je w powietrzu. Po jego odejściu podjęłam kilka z rozrzuconych kawałków na pamiątkę. Największy z nich zawiérał właśnie te słowa:

„Na mocy ustwaw fałszérz podpada karze śmierci.”

„Te słowa były widocznie drzącą ręką pisane. Dopiéro w tydzień otrzymałam piérwszą wiadomość o Gabryjelu. Późniéj nieco doniósł nam w liście, iż przybył do Paryża, ma miejsce u bankiera, i jest bardzo szczęśliwym. Po trzech miesiącach — zapewniał mię — przyjedzie po mnie, aby się ze mną ożenić i wziąć mię z sobą do miasta Nowy list, który we dwa tygodnie otrzymałam, zastał mię łzami zalaną. Odpowiedziałam mu prośbą o przyśpieszenie swojego przyrzeczenia, gdyż mamy nietylko o nasze własne, lecz i naszego dziecięcia szczęście się starać.

»Nato nie otrzymałam żadnego listu od Gabryjela. Napisał przecież do swego ojca, donosząc, iż w sprawunkach swojego pryncypała udał się do Guadelupy. Byłoto gromem dla mnie. Najprzód nie chciałam temu wierzyć i spodziewałam sie zawsze usłyszeć coś o Gabryjelu. Wkońcu nie mogłam już zataić dłużéj mojego stanu i zamierzyłam odkryć wszystko naszemu plebanowi. Czcigodny ten staruszek zamiast czynienia mi wyrzutów, pocieszał mię z prawdziwie ojcowską dobrocią. Sądziłam iż Gabryjel w Paryżu się znajduje, i że tylko dlatego o podróży swéj pisał, aby się mnie pozbył. Wyznałam moje podejrzenie plebanowi, a ten oświadczył to ojcu Gabryjela. Tomasz Lambert, ojciec mego kochanka, był znany ze swojéj uczciwości i zapytał mię tylko, czy Gabryjel przyrzekł się ze mną żenić Na dowód tego okazałam list Gabryjela.

»Maryjo,” — rzekł Lambert do mnie — „jesteś moja córką, twoje dziecię jest mojém dziecieciem; za tydzień dowiémy się wszyscy prawdy. Jadę sam jutro do Paryża, a jeżli tam Gabryjela znajdę, tedy skłonię go moją ojcowską powagą do dotrzymania ci słowa.”

»Podziękowałam zacnemu starcowi, a w tydzień

wezwano mię do jego domu. Wrócił był właśnie z Paryża i powitał mię smutno.

»Wszystko fałsz, co nam Gabryjel pisał!» przemówił do mnie, drżącéj i niemej z oczekiwania. „Byłem u bankiera, lecz ten nie miał nigdy pisarza imieniem Gabryjel Lambert; byłem u deputowanego: ten nigdy do mego syna nie pisał.»

„Na to odkrycie głowa opadła mi na piersi — rozpacz mię ogarnęła.

»W sześć albo siedm miesięcy po powrocie ojca Lamberta (dziécię moje przyszło tymczasem już na świat) rozniosła się pogłoska po wsi, iż wójt nasz, który właśnie z Paryża wrócił, widział tam Gabryjela — lecz jako wielkiego pana, w ekwipażu, ze służbą — jadącego do teatru opery.

»Usłyszawszy to, przedsięwzięłam udać się do Paryża, w nadziei, iż go tam znajdę. Stosownie do powieści naszego wójta mogłam go najprędzéj u teatru opery spotkać. Dopytałam się więc drogi do opery i czekałam tam u wjazdu przez trzy wieczory. Czwartego wreszcie nadjechał ktoś podobny do Gabryjela, i wysiadłszy wszedł do teatru. Byłam pewna, iż to Gabryjel. Czekałam więc znowu, aż będzie wracał, a słysząc wtedy, iż każe jechać »do domu", udałam się z dziecięciem za powozem, dopóki go dojrzeć mogłam. Straciłam go z oczu na bulwarach, i czekałam tam znów tak długo, czekałam tam dni kilka, aż Gabryjel znowu wracał z teatru, a ja z mojego miejsca daléj za jego powozem iść mogłam. Doszłam za nim aż na ulicę Taitbont. I znowu tam czekałam; aż dopiero po raz trzeci, z ulicy Taitbout, do samego mieszkania go odprowadziłam. Powiedziano mi, iż tam baron de Faverne mieszka. Domyślawszy się, że to przybrane nazwisko, napisałam kartkę z podpisem „Maryja", prosząc go o widzenie się ze mną.

„Oddano mi list bez odpowiedzi. Nazajutrz poszłam sama, lecz nie wpuszczono mnie Wzięłam więc dziécię na rece i siadłam tam przy drodze, na kamieniu. Siedziałam tam przez dzień cały, aż wkońcu pan nadszedłeś. Teraz wiész pan już wszystko. Radźże mi co mam czynić.»

»Przedewszystkiém to ci tylko powiadam, moje dziécię," — ozwał się lekarz — „iż lepiéj jest wrócić na wieś, nie widzieć go nigdy więcéj, i być biédną i opuszczoną Maryją — niż baronową de Faverne.»

„Ach mój Boże, więc masz go pan za...»

»Mam go za niegodziwego człowieka.»

»O, moja córko! moja córko!» zawołała niebogą matka, padając na kolana przy dziecku, jakby je obronić chciała.

„Lecz pójdę jeszcze jutro do niego;" zakończył lekarz.

Nazajutrz rano udał się pan Fabien do hotelu barona de Faverne. Przyszedłszy na ulicę Taitbout, postrzegł tam kryty powóz w przejeździe, eskortowany przez żandarmeryję, a za nim tłumy ludzi, podających sobie świéżą nowinę, iż baron de Faverne jako fałszérz aresztowanym, i w owym powozie do więzienia uprowadzonym został. Naoczne przekonanie się o nieładzie w mieszkaniu mniemanego barona, odjęło lekarzowi wszelką wątpliwość o prawdzie ulicznych wieści. Henryk de Faverne został itsotnie jako fałszérz papiérów uwięzionym.

W maju roku 1838go bawiłem przez kilka dni w Tulonie, mieszkając w jednym z domków wiejskich, leżących obok sławnéj cytadeli Lamelgue. Zwabiony pięknym widokiem niebieskawego śródziemnego morza, zapytałem komendanta cytadeli, czyliby jednego statku nająć nie można. Komendant odpowiedział, iż o tém pomyśli, a nazajutrz rano ujrzałem tuż pod oknem, pode mną, zwinny i strojny statek, mający osobliwszą załogę dwunastu więźniów galerowych, pod których czerwonémi myckami nie jeden szczególny łeb się ukrywał. Zeszedłem natychmiast do nich, aby zabrać z nimi znajomość. Byli tam złodzieje, podpalacze, mordercy; wszyscy jednak wyglądali bardzo potulnie, a obaczywszy mię, wstali i uchylili mycki. Gdy znów usiedli, zauważałem jednego, który, jak się zdawało, chciał być niepostrzeżonym, gdyż zasunął czapkę na czoło i odwrócił się na bok.

Byłto mężczyzna, mający może dwadzieścia ośm albo trzydzieści lat, o długiéj, rudéj brodzie, która jednak żadnego odznaczającego wyrazu jego rysom nie nadawała. Szare jego oczy błąkały się martwo z przedmiotu na przedmiot. Odmiennie od reszty towarzyszów, których bezwstydne twarze wyraźnie panujące wewnątrz namiętności malowały, były jego rysy bez wszelkiéj charakterystycznéj cechy. Zaniechałbym więc był dalszego przypatrywania się człowiekowi, który tylko najpospolitszym zbrodniarzem być się wydawał, gdyby jego zachowanie się coś osobliwszego w sobie nie miało, a oraz, gdybym był jakiegoś ciemnego nie miał przeczucia, żem tego człowieka już raz gdzieś widział.

Po naszéj przejazdzce po morzu myślałem wciąż o tym człowieku. Byłem pewny, iż go już raz gdzieś znałem, lecz gdzie? tego sobie żadną miarą przypomnieć nie mogłem. Dzieje się nam często, iż jakieś słowo na języku się kręci, a przecież wymówić go nie możemy; również migał mi się ten więzień co chwila nanowo przed duszą, i znikał potém jak złudne przypomnienie. Byłem ciekawy ujrzeć go jeszcze raz, i oglądałem się pilnie za nim, wstępując nazajutrz do téjże saméj łodzi — lecz już go tam nie było. Natomiast wsunął mi jeden z obecnych więźniów potajemnie małą karteczkę w rękę. Rozwinąłem ją i przeczytałem następujące wyrazy:

»*Monsieur*! — Postrzegłem wczoraj, iż mię wpan

mocno uważałeś, chcąc mię sobie przypomnieć; musiałeś także widzieć, jakem ci się poznać nie dawał.

»Przypuścisz, iż ze wszystkich upokorzeń, na jakie wystawieni jesteśmy, najboleśniejszém jest, spotkać się z ludźmi, z którymiśmy niegdyś w innych okolicznościach żyli.

»Z tegoto powodu radbym uniknąć spotkania się z wpanem. Zmyśliłem chorobę i spodziewam się, iż się o mnie dopytywać nie będziesz. — Henryk de Faverne.»

Wróciwszy do Paryża, pośpieszyłem do doktora Fabien, aby się tam bliższych szczegółów o naszym dawnym przeciwniku pojedynkowym a teraźniejszym więźniu na galarach dowiedzieć. Od doktora usłyszałem to wszystko, co czytelnicy już wiedzą, również jak i to, czego czytelnicy jeszcze nie wiedzą, to jest, iż przyaresztowany de Faverne czyli Lambert wkońcu z prośbą o wstawienie się za nim u króla, do doktora Fabien się udał, a król Ludwik Filip na prośby swego nadwornego chirurga, jakim jest doktor Fabien, zapadły już wyrok śmierci, na karę dożywotniego więzienia na galarach złagodził.

W październiku 1842go roku sprowadziły mię okoliczności nanowo do Tulonu. Nie omieszkałem dowiadywać się o moim dawnym znajomym, baronie Henryku de Faverne. Z trudnością jednak przyszło mi spotkać jednego z jego towarzyszy, należących do tegoż samego oddziału więźniów. Wkońcu odszukałem przecież więźnia, który galerowym zwyczajem, był wówczas razem z nim skuty.

„Pytasz się pan o Gabryjela Lambert?» ozwał się na moje wywiadywania. »Jemu cały tutejszy sposób życia był zupełnie przeciwny. Lubiliśmy się w istocie, lecz posiadał zbyt melancholijny temperament. W ciągu dwóch lat stawał się coraz bardziej ponurym i w sobie zatopionym, a przytém widziałem, iż mi się z czemś zwierzyć pragnie. Jednego razu przejechała koło nas ciężko naładowana bryka. „Gdybym nie był tchórzem," rzekł do mnie, „podłożyłbym głowę pod koło." — Wyrozumiałem więc jaki obrót jego czarna zaduma wzięła, a widząc jak ona codziennie przykrzejszą się stawała, utwierdzałem go sam w jego myślach. — „Musisz spróbować," rzekłem, „byłeś bogatym, żyłeś w świecie, lepiejby było, zrobić raz temu koniec." — Lambert przysłuchywał się pilnie i przyznawał iż mam słuszność, ale nigdy do dzieła nie przystępował: bał się okrutnie. Tak sześć miesięcy w zupełnej niepewności minęło — aż wkońcu oswoił się nieco z moim projektem.

„Jednego razu pracowaliśmy za wysokim stosem naskładanego materyjału budowlanego, tak iż nas nie widziano. Tuż przy nas stało jedyne drzewo morwowe.

„Co za przyjemne miejsce do powieszenia się!" rzekłem.

Lambert wypatrzył się na mnie, jak trup blady.

„Nie mam powrózka."

»Jeżeli chcesz — ja mam."

»Ale jakże się wziąć do tego?"

„Ach, poproś mię tylko o to, a obaczysz."

„No, to zróbże mi to."

„Czyż naprawdę oto mię prosisz?"

„Tak, naprawdę."

„Ha — nigdy jeszcze przyjacielowi prośby nie odmawiałem." To rzekłszy uwiązałem węzeł do ściągania, przymocowałem jeden koniec do gałęzi, ustawiłem Lamberta na wysokiej kłodzie, założyłem mu drugi koniec powrózka na szyję, a potém położyłem się na ziemię i zamknąłem oczy. Dziesięć minut tak przeleżałem, nie słysząc najmniejszego szelestu.

„Nareszcie otworzyłem oczy i spojrzałem na niego. Stał on jeszcze w téj samej postawie na kłodzie, z sznurkiem na szyi.

»I cóż?" spytałem.

»Westchnął ciężko.

»W téj chwili dały się słyszeć kroki nadchodzącego dozorcy. Położyłem się coprędzéj znowu na ziemię, a kładąc się potrąciłem nogą kłodę, na któréj stał mój przyjaciel. Tak węzeł zaciągnął się na szyi, a Lambert uwisł u gałęzi. Uczułem kilka drgnień łańcucha który nas razem łączył. Po chwili dał mi ktoś potężnego szturkańca.

»Cóżto?" rzekłem zrywając się, jakgdyby ze snu.

»Cóżto?" przedrzeźnił mi się dozorca. „Ty tu śpisz, a tymczasem towarzysz twój się powiesił."

»Możesz pan sobie wystawić, panie Dumas, jak mię to niewymownie zdziwiło. Ponieważ jednak Gabryjel powszechnie za zbyt wielkiego tchórza uchodził, aby bez czyjejś pomocy śmierć sobie mógł był zadać, przeto osądzono mię jeszcze w więzieniu na miesiąc do więzienia — gdzie też istotnie moje dobre chęci dla przyjaciela odpokutować musiałem."

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 35ty i zawiéra: 1) Szkoła wiejska w Anglii. Przez Leona Rzewuskiego. 2) O uporządkowaniu pól pod płodozmian. Dokończenie. 3) Odpowiedź na artykuł w nrze 24tym Tygodnika z r. b. umieszczony pod tytułem: »Doświadczenie z grochem dawanym jagniętom.« 4) Niektóre uwagi dotyczące się spółki handlowéj, przez pana Tergondego zaproponowanéj. 5) O nowéj chorobie ziemniaków. 6) Wiadomości handlowe.

Zdrowy rozsądek. Szacownato rzecz, panowie, ten zdrowy, domowy, gospodarski rozsądek. Byle tylko nie mniemać, iż on zawsze prawdę wskazuje. Jestto niestety nic więcej jak tylko drobna, zdawkowa mo-

neta, przydatna do kupienia sobie bochenka chleba, który gdybyś miał kupić za dukata, nie uczyniłbyś wprzódy zadość taryfie, aż pókibyś swego złota na drobny pieniądz nie zmieniał; lecz chcieć ten ciężki miedziany pieniądz brać na wagę ze złotem, byłoby-to właśnie tożsamo, co zdrowym rozsądkiem wielkie a nieraz święte prawdy chcieć pojąć. Chcecież nato przykładu? Oto mam dość ciekawy, a nawet mocno uczony, gdyż nietylko z pism Herodota, najstarszego dziejopisa greckiego, lecz owszem z jego własnej osoby, z samegoż Herodota wzięty. Ten niezrównanie miły i słodki gaduła, który żył przed więcej niż dwoma tysięcy laty, a którego tak przyjemnie się czyta, jakgdyby dziś feuilletony do paryzkich dzienników pisał, opowiada w 4téj księdze, rozdź. 35tym swojéj historyi: »Argipeowie prawią, iż nad krajem »ludzi łysych« mieszkają Egipodowie, to jest ludzie, co mają nogi kozie; lecz mnie się nie zdaje, aby temu wiary dać można.« — A niżéj, w rozdź. 105tym mówi: Skytowie twierdzą, jakoby każdy człowiek z narodu Neurów przemieniał się raz na rok w wilka, a potem po dniach kilku znów dawną postać przybiérał. Niech sobie zdrowi gadają; we mnie oni podobnych bajek nie wmówią, chociaż stale przytem obstają, a nawet gotowi są przysiądz nato.« Dopóty zdrowy rozum dobrze posłuży; lecz poza kozie nogi Egipodów i wilkołaczy zwyczaj Neurów dalej on już nie sięga. Prawiąc w rozdź. 42gim, o wyprawie Fenijczyków wokoło Afryki, mówi: »Po swoim powrocie opowiadali Fenijczykowie, iż płynąc wzdłuż brzegów Libii mieli słońce na prawo.« — Jak się rzecz ma istotnie za równikiem; ale zdrowy rozsądek Herodota nie pozwala mu w to wierzyć i skłania go do zapewnienia: »To mi się wcale prawdopodobném nie zdaje.« — Wszakże ten zdrowy rozsądek wiele innych jeszcze rzeczy pojąć nie może, a nawet je czasem przedrwiwa. I tak w rozdziele 36tym czytamy: »Co do mnie, śmiać się muszę, słysząc jak niektórzy ludzie, opisując kształt ziemi, bez najmniejszego zastanowienia i rozsądku utrzymują, iż ziemia jest okrągłą, jakgdyby ją kto na garncarskim krążku utoczył; iż ją morza wokoło oblewają, i że Azyja równa się wielkością Europie. Lecz ja im tu w kilku słowach wielkość Azyi i Europy wyłożę.« — A po tych kilku słowach, kończy nasz miły gaduła, iż (rozdź. 42) »Europa nietylko Azyję lecz nawet i Afrykę długością swoją przechodzi.« — Mówią że szczytność a śmieszność o krok tylko granicżą; ależ zdrowy rozum a nierozum nieraz i o włos się nie różnią.

Zbliżenie Europy do Ameryki. Niemasz żadnej, jakkolwiek nieprawdopodobnej myśli, którąby w naszych czasach prawdą stać się nie mogła. Cóż powiemy o planie przesyłania wiadomości z Nowego Jorku do Anglii i odwrotnie w 1 godzinie, czyli w 60 minutach!! Myśl ta jest dopiero w poczęciu, lecz świat wie już przynajmniej, jak to jajo Kolumba ustawić można. Rzecz się ma tym sposobem: W jednym z nowojorskich dzienników »*Tribune*« uczyniono z wszelką dosadnością amerykańskiej wymowy wniosek do połączenia Północnéj Ameryki z Wielką Brytaniją na odległość telegraficznéj komunikacyi — a to za pomocą przyrządzenia elektrycznego p. Morse. W tym celu należałoby dobrze obwarowany drut miedziany, grubości pióra gęsiego, przeciągnąć z Nowej Szkocyi do Irlandyi. Dałoby się to uskutecznić, gdyby jaki dobry statek parowy całe pasmo miedziane, zwinięte, z sobą zabrał, i rozwijając je w drodze ku irlandskim wybrzeżom, w poprzek całego atlantyckiego oceanu je rozciągnął. Ten niezmierny drut zatopiłby się swoim własnym ciężarem tak głęboko w morze, iż żaden tram okrętowy uszkodzićby go nie zdołał. Sprowadzając go wreszcie przy każdéj wyspie zdala od miejsca lądowania okrętów, na wybrzeże, możnaby go także od wpływu i niebezpieczeństwa kotwic ochronić. Tak pozostałyby jeszcze tylko dwa wypadki, przez któreby działalność druta nadwerężoną być mogła, to jest gdyby drut sam dla zbytniego ciężaru się rozłamał, lub gdyby otaczająca go ochronna powłoka oderwaną została. Co się tycze przewozu, tedy sądzi nowojorski wnioskodawca, iż statek parowy »*Great-Britain*« byłby w stanie przewieść z łatwością drut, sięgający z północnej Ameryki do Europy, a koszta nie przechodziłyby niezawodnie 1go milijonu dollarów — 5,400.000 franków. Za pomocą takiego telegrafu mogłoby miasto Nowy Jork otrzymywać w 1 godzinie wiadomości z Londynu i całego lądu Europy, jakoteż nawzajem w tym samym przeciągu czasu swoje wiadomości tamże przesyłać. »*Journal des Débats*« który podług dziennika nowojorskiego o tym olbrzymim projekcie zawiadamia, nie znajduje go wcale tak śmiesznym, jak on na pierwszy rzut oka się wydaje. Żadnej wątpliwości już nie podléga iż wkrótce telegrafy elektryczne cały europejski i północno-amerykański kontynent ogromną siecią obloką; czy zaś te obie sieci w tenże sam sposób, jaki nasz północno-amerykański wnioskodawca podaje, lub inaczej połączone zostaną, to nam czas sam okaże. Lecz ten czas ziścił już tyle »urojeń«, iż się najbajeczniejszych dziwów po nim spodziéwać można.

Manuelita Rosas, córka prezydenta i dyktatora argentyńskiej rzeczypospolitéj w południowéj Ameryce — o którego osobliwszym wyborze na wodza Gauchów w nr. 12tym Rozmaitości z r. b. wspomniano — jest jedną z najznakomitszych kobiet teraźniejszości. Ma ona może lat 30, a lubo w południowéj Ameryce kobiety w jéj wieku zwykle już odkwitają, jest jeszcze w samym kwiecie piękności. Głównym jednak wdziękiem sennority są jéj rzadkie talenta, wszechstronne wiadomości, nadzwyczajnie bystry wzrok w sprawach politycznych, i prawdziwe zamiłowanie w sztukach i umiejętnościach. Jest przeto jedyną pociechą i chlubą swojego ojca, który dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa pomiędzy dzikiemi mieszkańcami rzeczypospolitej argentyńskiéj, nieraz surowym, i prawie srogim być musi. Manuelita łagodzi swoją dobrocią nieprzebłaganą wolę ojca i odgrywa ztąd ważną rolę w dziejach ojczyzny. Co więcej, ponieważ prezydent Rosas dziwny wstręt od wszystkich cudzoziemców czuje, dlatego objęła jego córka wszystkie sprawy polityki zagranicznej i prowadzi je z nadzwyczajną zręcznością. I tak przyjmuje ona wszystkich ambasadorów, koresponduje z nimi i załatwia wszelkie stosunki z zagranicznemi państwami. Jako główna zawiadowczyni spraw politycznych gromadzi Manuelita całe wyższe towarzystwo stolicy około siebie i otwiéra wszystkim znakomitszym gościom podwoje swoich salonów. Odbywające się tam zabawy wieczorne nie ustępują w niczém podobnym zgromadzeniom na pierwszych dworach europejskich, a osobliwie muzyka doznaje troskliwych względów na tych wieczorach, gdyż sennorita Rosas ma bardzo przyjemny głosik i wywiaduje się pilnie o wszystkiem co tylko w tym względzie nowego w stolicy mód i oświaty — w Paryżu — się pojawi. Przytem, będąc córką jenerała, który głównie swojéj zręczności w jeżdżeniu na koniu wyniesienie swoje zawdzięcza, umié ona zarówno jak najpierwszy *gauch* z pastwisk Pampas, poskramiać dzikie tabuny, kierować dowolnie najognistszym rumakiem

a nawet popisywać się przed ojcem różnemi konnemi sztukami, jakich mało który z naszych eleganckich *sportsmen*ów mógłby dokazać. — Na dowód jéj ludzkości, dziwnie z właściwą tamtejszéj części świata dziką śmiałością połączonéj, opowiadają sobie dwa następne wypadki. Jednego razu skazał był dyktator jakiegoś przestępcę za niezbyt ciężkie wykroczenie, na karę śmierci. Manuelita, nie mogąc ojca żadnym innym sposobem przebłagać, wybiegła na dwór, wyskoczyła na konia, którego dotąd za nieukróconego miano, i stojąc na nim, wleciała tak do pałacu przed ojca. Zachwycony śmiałością córki dyktator, uściskał ją radośnie i rozdarł dekret. — Innym razem rozgniewawszy ojca z podobnegoż powodu, wyskoczyła na obecnego przy tém murzyna, stanęła mu na głowie, i grożąc rzucić się głową o kamienną posadzkę, nie uspokoiła się wprzódy, aż póki ojciec winowajcy nie ułaskawił. Sąto zapewne dziwne w naszych oczach postępki, lecz niemiło zjednała sobie Manuelita Rosas miłość i wdzięczność całego kraju.

Żaby w człowieku. Gazety petersburskie donoszą, iż pewien młody Żydzik z gubernii kijowskiéj po długiém bezskuteczném leczeniu się na solitera, najadłszy się kwaśnego mleka, 4 żywe żaby (*rana temporaria* L.) z siebie wyrzucił. Za pomocą różnych lekarstw na wymioty, a mianowicie oleju terpentynowego, wyszło jeszcze przy siedmiu nowych wymiotach 35 żywych żab z niego. Teraz zdaje się już w nim wszelki zaród tych zwierząt być wytępionym, gdyż nie czuje żadnych boleści i ma się zupełnie dobrze.

Niegdyś a teraz. Oto nowomianowany rycerz legii honoru, znakomity poeta francuzki, znajduje się właśnie w pałacu ministeryjum spraw wewnętrznych, i czeka na przygotowywany dla niego dyplom.— Obrzęd pasowania na rycerza stracił pod wpływem czasu i stosunków wiele ze swojéj dawnéj uroczystości. Niegdyś — opowiadają dziejopisowie — odprowadzali przyszłego rycerza rodzice, krewni, przyjaciele i wszyscy rycerze z poblizkości w dzień przyjęcia do kościoła. Miał on białą suknię na sobie, i tarcz zwisała mu na piersi. Piękne damy przypinały mu złote ostrogi, kolczugę i inne zbroje, najstarszy rycerz przypasywał mu oręż, który leżał wprzód na ołtarzu, i uderzywszy go nim z lekka po ramieniu, uścisnął go po tém, mówiąc: »W imieniu pana Boga, najświętszéj Panny i świętego Dyonizego, pasuję cię na rycerza.« Następnie przyprowadził mu giermek konia, zaczęto gonić na ostre, a nieraz trwała uroczystość i dni kilka. Z tych dawnych obrzędów nie pozostało dzisiaj nic więcéj, jak tylko zwyczaj, iż nowomianowany rycerz legii honoru przed innym, starszym kawalerem uklęka, i lekkie uderzenie od niego otrzymuje, wraz z słowy: »Przyjmuję cię jako rycerza legii honoru.« Dzieje się to w zbyt małém zgromadzeniu, przy kilku albo i żadnych świadkach, we fraku lub w paletocie, w salonie, w jadalni lub nawet w biurze. — Otóż wspomniany wyżéj poeta znajdował się w gabinecie jednego z ministeryjalnych sekretarzy i miał być na rycerza pasowanym. Na szczęście wyprosił sobie jakiś stary kawaler legii honoru, iż go mógł uderzyć szpadą po plecach, a kilku przypadkowo obecnych urzędników nastręczyło się na świadków. Wszakże nie było jednéj rzeczy, któréj niezbędnie do tej ceremonii potrzeba — nie było szpady. Wszyscy obecni byli tylko piórami uzbrojeni. Przerzucono wszystkie kąty, oblecciano po wszystkich biurach, przetrząśniono wszystkie szafy i skrzynie — daremnie: w pałacu ministeryjum, gdzie tylko o zachowaniu spokoju Europy radzono, nie było ani jednéj zabójczéj broni. Nie wypadało nic innego, jak odłożyć cały ten akt na jutro. Ztém też zabierał się już biedny rycerz do domu, gdy jakiś młody nadliczbowek postrzegł municypalnego gwardzistę na ulicy. Zbiegł więc czémprędzéj nadół i wrócił z dziewiczą szablą niewinnego gwardzisty. Szabla czy miecz — wszystko jedno! Któż tak ściśle w rzecz wchodzi! Nasz poeta-kawaler klęka patetycznie na ziemię, a stary ojciec chrzestny dobywa z prawdziwie rycérską godnością i uroczystą miną municypalnej szabli, lecz — o chwilo nieszczęsna! — szabla zrdzewiała nie może wyleźć z pochwy! Ledwie sześć rąk wywabiło ją z jéj spokojnego schowku, poczém spadła nieco nielekko na kark poety — i obrzęd się zakończył.

Sposób nagłego uśmierzenia węgorzów. Nie ma większego kłopotu dla kucharza jak zabić nieco silniejszego węgorza. Co chwila wymyka on się z ręki i rzuca po ziemi. Jeźli go uchwyci za głowę, tedy owije mu się tak mocno wkoło ręki, iżby ją gotów złamać, gdyby go nie puszczono. Zazwyczaj przybija mu się ogon gwoździem do stołu. Już teraz tego wszystkiego nie potrzeba. Węgorze, jakoteż minogi, liny i tym podobne ryby są nadzwyczajnie tkliwe na wszelki wpływ elektryczny lub magnetyczny, a nawet, jak np. trzęsawiec, sum i niektóre inne, są same elektrycznémi. Z tego powodu stanowią one najpewniejszą wyrocznię pogody. I w téjto ich własności polega także tajemnica ich najprędszego uśmierzania. Należy bowiem tylko jakiego dobrego konduktora elektryczności, jak np. stal, nóż, lub gwóźdź żelazny przytknąć do głowy węgorza, lub tylko w poblizkości położyć, a natychmiast się uspokoi. Po odjęciu zaś żelaziwa, zaczyna węgorz nanowo wić i rzucać się. Magnes wywiera jeszcze większy wpływ na te gatunki ryb. Jeźli się przytrzyma magnes u krawędzi cebrzyka, w którym się węgorz znajduje, tedy przybliża on natychmiast głowę do magnesu, okazuje widoczną trwogę, otwiera pysk dla wciągnienia w siebie powietrza, nadyma gardziel i wypuszcza wciągnione powietrze małémi bocznemi otworami wzdłuż skrzel.

Wzrost handlu angielskiego. Handel Anglii z Europą podwoił się prawie w ostatnich dwunastu latach; podobnież i z innémi krajami wzmógł się on nadzwyczajnie. Wywóz wszelkich towarów angielskich w roku 1831ym wynosił 37 milijonów 164.372 funt. szterl.; w roku zaś 1843im 52 milijony 279.709 funtów. W roku 1831ym przypadało na kraje zaeuropejskie 23 mil. 523.932 funt., w roku 1843m, 28 mil. 295.750 funt. Tak podniósł się więc w r. 1843m wywóz do Europy z 13 mil. 640.440 funtów roku 1831 — do ogromnej sumy 23 mil. 983.959 funt. szterl. — Nowa w ciągu bieżącego roku przez sir Roberta Peel przedłożona zmiana cełł sprowadzi oczywiście jeszcze większe podniesienie się wywozu.

Świat przewrotny. Pewnego chłopka, który przypadkiem był na przedstawieniu opery, zapytano, jak mu się podobało? — »Ujdzie,« — odpowiedział — »ale znać tam niektórzy źle śpiéwali, bo czasem co który przestał, to zaczęli wszyscy mocno na niego krzyczeć i hałasować, i kazali mu tożsamo drugi raz lepiéj zaśpiewać.« (Byłoto *fora*.)

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.